

573.

17637

El. Orzeszkowa

BIŁA DZIEWICA.

BIŁA DZIEWICA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

N. E. Iwanowskiego.

— 302 —

WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY

w Księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

8. Chmielna 8.

—
1883.

Дозволено Цензурою.
Варшава 3 Ноября 1882 г.



Druk Emila Skiwskiego, Chmielna Nr. 20.

BIAŁA DZIEWICA.

POWIEŚĆ.

Jak górski potok, gdy się topią śniegi
Od pocałunków wiosennego słońca,
Wzburzony, groźny, rwie skaliste brzegi,
Aż się powodzią rozleje bez końca,
Niosąc ku morzu ludzkich mieszkań szczęty,
Mieszkańców ciała i dęby stuletnie:
Tak Chrześcijaństwo, gdy wionął Duch Święty,
Wzajemnych swarów zabycwszy szlachetnie,
Grób Chrystusowy wyzwolić pobiegło
I milion ludzi za ideę legło...

Lecz tenże potok, w szalonym impecie,
Kiedy mu skały jego drogę przetną,
Gniewnie ku innéj zwraca się mecie,
A pewność celu utracą szlachetną;

Chociaż się pieniać naśladuje morze,
Wkrótce osłabnie i zwięzi swe łoże:
Przed nim szerokie piaszczyste rozłogi
I oto ginie jak strumień ubogi.

I Chrześcijaństwo trafiło na skały,
Zwróciło prądy, ostygły zapaly...

Pod cieniem kwiatu sprośna gąsiennica
Daremnie barwy jego na się bierze:
Dziewiczą szatą ludzi nierządnicą,
A mnich mieczowy odmawia pacierze.

Kędy ciał ludzkich zwały się stosy
I krwią nasiękła ziemia zgrozą drżąca,
Gdy duchy ofiar ulecą w niebiosy,
Wstanie upiorów zgraja krwi pragnąca,
Jako ze zbrodni i gwałtu poczęta
I pójdzie przed się, niby rzesza święta;
Ale ją przeklną litewskie krainy,
Bo nienawiścią splugawi im syny
I kaimowych nauczy pacierzy.

Od bursztynowych Bałtyku wybrzeży,
O puszczy litewskich ciszą senne głębie
Obił się skargi krzyk i jęki bólu,
Płosząc z oliwną zielenią gołębie,
Co na litewskim spoczywały polu.
I poszli sobie pielgrzymowie cisi,
Z miłością w sercach a księgą we dłoni,
Bo oto zbrojni nadciągnęli mnisi

Z dogmatem w ustach, dowodem we broni:
Boga miłości nieśli światło z sobą,
A czemuż strzechy pogańskie zażegli
I kraj pogański okryli żałobą,
Niesławiąc żony, gdy mężę polegli?

Nie, biali mnisi nie znają miłości;
Oni grabieżą i rozpustą żyją,
A od krwi ludzkiej i lez ludu tyją:
Takich-to Litwo, doczekałaś gości!
Na twoją głowę, cios za ciosem leci;
Ty wstajesz, padasz, raz, drugi i trzeci,
Upadłaś znowu i koniec twój rychły:
Już w twoich Prusach, twe pieśni ucichły,
A zamki wrogów, jako grzyby wiosną,
Jedne po drugich powstają i rosną.
Daremnie wznosisz twarz bladą ku górze:
Groźny twój Perkun śpi gnuśnie na chmurze
I milczą liczne, zbyt łagodne bogi,
Kiedy im bluźnią wspólne wasze wrogi
I nie ma jutra twoich zwycięstw chwała,
Boś osądzona i tylko zuchwała...

Synu Ryngolda, o Kniazziu Mendogu!
Byłeś potężny; dziś ty nędzny taki,
Żeś Żnicz zagasił i z jednego rogu
Pijesz krew własną z podłymi Krzyżaki.
Niedźwiedziu Litwy, oni z ciebie szydzą,
Odkąd pazurów i kłów cię zbawili

I złotą obręcz na twój łeb włożyli,
W twojej świetlicy już ciebie nie widzą;
O tobie Kniaziu i twych ziemiach radzą:
Co ci odejmą i co komu dadzą,
A młoda żona cudzym bogom rada,
Płocha niewiasta, do snu się układa.

Więc Litwa zginie? już zginęła może?
Nie, Litwa żyje, bo ma sprzymierzeńce,
A za ich tarczą, chléb, spokojne łoże
I gaje święte i bogów i jeńce
I pieśni stare i stare nadzieje:
Choć broń zawiodła, Książ się przeniewierza,
Zostały bagna, pełne zwierza knieje
I kraj jest jedną puszcza Białowieża.

Gdy się weń Teuton zagłębić odważy,
Trwożnie się żegna i śpiesznie przekrada;
Ani za sobą tylną czeka straż:
Droga daleka, a zbłąkanym biada!
Nieraz wśród bagien zagrzęzły zastępy
I nie wróciły i nikt o nich nie wie:
Niesłychać o nich w Burtyników śpiewie,
Chyba litewskie wiedzą może sępy...

Z puszczy Litwa czerpie, wieki czerpać może
Krew i otuchę i bogom ofiary,
I gdyby Mendog, ów Mendog wyniosły,
Raz dał odprawę udanej pokorze,

Tu-by pazury i kły mu odrosły
I wstałby olbrzym jako Ryngold stary.

Puszczy litewską! pod twoją opieką,
Z ogrodem, sadem i pszczelną pasieką,
Stał dwór dębowy starego Randona.
Wysoką ścianą zamykał go w okół
Z ciosanych bali potężny częstokół,
A gdzie się ciężka otwierała brona
I most zwodzony na strumieniu leżał,
Co wartkim pędem półkole obieżał,
Wartował Sargas, a głazu mu kawał
Za stół i krzesło i za łoże stawiał.

Sargu litewski! po co czujność taka,
Jak gdyby wrogów czatowała tłuszcza?
Wszak kędy spojrzeć, nieprzebyta puszcza,
I nikt tu nigdy nie widział Krzyżaka.
Czy przed mieszkańcem tych lasów odwiecznych
Szuka już Litwin kryjówek bezpiecznych?
Ale on żubra po ostępach śledzi
I w legowiskach napada niedźwiedzi;
Chyba więc skarby w starym dworcu skrywa
I skopał rowy, wznosił palisad rzędy,
Choć okolica spokoju używa,

Godząc się z żubrem, z niedźwiedziem z pobliza
I nie zna dotąd zwierząt z piętnem krzyża,
Co za zdobyczą goniły nie tędy...

W Randona dworze jest wielka świetlica,
A w niej ognisko, co wiecznie goreje,
Bo jest świętego potomkiem rodzica,
Co Wajdeloty i kapłanów grzeje;
Wkoło ogniska, jako zwyczaj stary,
Niedźwiedzie skóry gościom, ku wygodzie.
Czemuż je pańskie posiadły ogary?
Dlaczego Randon na dębowej kłodzie,
Zdała od ognia, nieruchomy siada,
Samotny duma, lub ze sobą gada?

W Randona dworze widoczne dostatki:
Po ścianach zbroje, kowane puklerze;
Snać i w ukryciu nie jeden miecz gładki,
I srebrnych marek miara się nabierze.
Na dwór Randona łaskawe Kobole,
Więc pieczeń żubrza i rogi na stole
Pełne alusu. Czemuż Randon stary
Jada sam tylko ze swémi ogary
I tak poważnie jako w świętym gaju
I tak niechętnie jakby dla zwyczaju?

W Randona dworze syn jego jedyny,
Swarno, dąb młody u boku olbrzyma,
O sile męża a krasie dziewczyny:
Biada turowi gdy za oszczep ima,
Lub celną strzałą za jeleniem goni,

Łagodne dziecię, w ojcowskiej ustroni;
Czemuż go ojciec nie ośmieli słowy?
Nie żąda nowin, nie pyta o łowy?
Jeśli rozmowa starca nie weseli,
To jest niezbędną dla duszy junaka;
Boli snąć syna obojętność taka,
Lecz nic nie mówił i obaj milczeli.

Stary samotnik i córkę posiadał:
Chociaż nikt serca Litwina nie zbadał,
Mówią, iż marki i teutońskie zbroje
Oddałby pewnie za swoją dziewczoję,
A może, może jedynego syna.
Mówią, bo wiedzą, iż to cud dziewczyna,
Iż krasą równa niebieskiej bogini,
Białością ciała lilii siostrzyca;
Lecz w niewinności nie ma równej sobie:
Więc białe kwiaty poddankami czyni,
A kiedy Mildzie hołd składa dziewica,
To jakby z łaski: takie piękne obie.
Piękną wśród pięknych ją zwał okrąg cały,
Białą Dziewicą rówieśne przezwwały.

Ona też jedna starego Randona,
Uporny smutek cudownie pokona;
Gdy jeno zechce, spędzi troskę z czoła,
A czasem, czasem i uśmiech wywoła,
Uśmiech, lecz dziwny: ledwie się narodził,
Stary go zabić śpieszył tejże chwili
I wołał córkę, kiedy piosnkę kwili
I po świetlicy niby gniewny chodził.

Kiedy się starzec sam w sobie zamyka,
 Wiosennych twarzy i słońca unika;
 Znać, iż przebywa w pamięci krainie.
 Gościem u siebie, tam w swoim jest domu;
 Tam on żyć może i umie jedynie,
 Ale doń klucza nie zwierza nikomu.

Jest człowiek w Litwie rówiesny Randona,
 Co klucz ma wspólny do wspólnego domu,
 Więc go nachodzi czasem pokryjomu.
 Lecz stary Randon rad z starca Gedona,
 Choć przed nim dziewczki chowają się trwożnie,
 Bo zbyt przebiegły i nazbyt zakrzepły:
 Zgasiłby chętnie każdy promyk ciepły,
 Z niebiańskiej Mildy żartując bezbożnie,
 Chociaż, o zgrozo, jest sam Wajdelotą.
 Ale iż Randon, gdy się z nim rozgada,
 Wnet się ożywia, czasem w zapał wpada;
 Więc bezbożnika doń wiodą z ochotą,
 Do starca, starca z czarodziejską władzą
 I cześć mu dadzą i za stół posadzą,
 Chociaż nikt nie wie o czém starce radzą:
 Kobole chyba rozumieją może:
 Mowa Teutonów kaleczy jak noże,
 Oni z niemiecka rozhovor prowadzą.

Za ostrokołem jest ustrzeń zielona
 I cień jaworu i strumień w dolinie,
 Tu często biega dziewczeczka Randona,
 Lecz Gedonowi nic o tém nie powie.

Szczebioce z kwiaty, rozkoszna jój minka,
 Bo słowa idą wprost z serca do serca,
 Bo mowę kwiatów rozumie Litwinka,
 I cóżby na to powiedział szyderca?

Tutaj, swawolą z motylem, z rybkami,
 Kiedy znużona pod jaworem legła,
 Bywała kwiatem pomiędzy kwiatami,
 A sama Milda dziewiczych snów strzegła:

Aby ich skalać nie mógł duch złośliwy,
 Ni urzec śpiącej Ragana zdumiona,
 Ani przestraszyć młodzian urodziwy,
 Ani znieważać wzrok starca Gedona.

Kiedy westchnienie zwiastuje natręta,
 Milda kochankę pocałuje w usta,
 I oto modre otworzy oczęta
 I oto wstanie wesola i pusta...

Jeśli przypadkiem zbłąkany młodzieniec
 Zaszedł tu kiedy, biada mu, bo serce
 Gore w nim pewnie jak krzyżacki jeniec...
 Szkoda młodzieńca: mniejsza o szyderce.

Od blasków słońca sama w blaskach cała,
 Piękna Litwinka pośród kwiatów stała.
 Wzniosła rączęta jako skrzydeł loty
 I upinała w zieleń warkocz złoty,
 A na jój łono spływały bursztyny.

Litwinko, gdzież jest ów kolor kaliny
 Ust twych i jagód, co jak róże blade,
 Gdy pieszczot słońca unikają rade,
 Aby z przesyty która nie skonała?
 I czemuś wszystka nagle spoważniała?

Czy niedość pilnie strzegła cię bogini,
 Urzekła wiedźma, czy naszedł młodzieniec,
 I ty żalosna iż pokutę czyni,
 Zdobisz twe łono i uplatasz wieniec?

Może obraził Wajdalota pijany?
 Uciecz więc przed nim, bo oto nadchodzi...
 Lecz ty filutko, masz uśmiech kłamany,
 Co weń tak wierzą zapaleńce młodzi...

Uśmiech? na plewy wróbel się nie złapie,
 I w lada jamę stary lis nie wpadnie:
 Gość nieproszony łbem kręci i sapie,
 Sapie i mruczy i wszystko odgadnie
 I jeśli zechce przed ludźmi wygada...

Złękło się dziewczę, a tymczasem stary
 Patrzy jęj w oczy i mruczając usiada
 I brząka w struny litewskiej cytary:

— Dziewczyno,—rzecze,—uczyńmy przymierze:
 Usiądź tu przy mnie, gołębico dzika,
 A oto w struny tój gęśli uderzę:
 Posłuchaj piosnki o losach młodzika...
 Lub nie, nie o nim, niech młodzik przepada!
 Tyś piękna, dziewczę, jako kwiat lilii,
 Zaśpiewam tobie... lecz czegoś tak blada?
 Zaśpiewam piosnkę o losach lilii.

PIOSNKA GEDONA O LILII.

Rannemu słońcu, co na świat wyjrzało,
 Lilija łono otwiera nieśmiało.

*

Dziewczęcia świątek dziecinny nie mam,
 Odkąd dziewicy zachwyca wdziękami.

*

Promienne słońce śsie roś z kielicha,
 Wiednieją liście i trawa usycha.

*

Pierwszej miłości żarzewia bez cienia
 Gwałtowniej chłoną dziewicze rojenia.

*

Lilija pragnie, choć woni ma tyle,
 Iż się do łona gromadzą motyle.

*

Dziewica tęskni i traci rumieńce,
 Choć jęj skinienia czekają młodzieńce.

*

Lilija mdlejąc chyli jasną głowę
 Gdy z niej wyszano nektary miodowe.

*

Dziewica sercem nowych darząc gości
Doświadczy wrażeń, nie wskresze miłości.

*

Lilija codzienną w nową wstaje siłę:
Kąpie się w słońcu i wabi motyle.

Sercu dziewczycy jeden służy ranek
I jeden dzionek i jeden kochanek...

Tu urwał starzec i tak szarpnął struny,
Iż jedna pękła jęknąwszy boleśnie.

— Dość — woła — pieśni, niech przepadną
[pieśnię!

Gdzie trzeba przestróg, niech biją pioruny,
Bo pieśń zapóźno idzie, lub zawczasie,
Bo serc niewieścich niezbadane ciśnie.
Zostawmy bogom znaczone ofiary! —
To rzekł i odszedł Wajdalota stary.

Swarno, choć młody, miał serce swobodne,
I piękną siostrę samą kochał tkliwie;
Lubo na Litwie dziewczęta dorodne,
On na *znaczoną* zbyt czekał cierpliwie;
Lubo nie jedna westchnęła doń skrycie,
Za siostrę tylko poświęciłby życie.

Gdy szedł na łowy, lub powracał z lasu,
Żegnał ją smutno a witał radośnie:
Niemasz jej doma, on nie użył wczasu,
Aż młodej siostry odszukał brat młody,
Kędy nań kwiaty patrzyły zazdrośnie;
Bo gdy łowieckie powiadał przygody,
Litwinka wcale o nich zapomniała,
A myśliwego z uwagą słuchała.

Ledwie z przed oczu odszedł dziwak stary,
Co mu śnać słońce świeciło dziś czarno,
Z leśnej wycieczki wracający Swarno,
Zleciwszy sługom zdobycz i ogary,
Wróżbą nadziei jak posłaniec wiosny,
U boku siostry zjawił się radosny.
Dziś leśne bóstwa były nań łaskawe:
Starego meszkę młode zmogło ramię.
Lecz skoro siostrze spojrział w oczki łzawe,
Skoro na licu dostrzegł troski znamię,
Posmutniał nagle. Tak gdy chmura ciemna
Pokryje słońce, mroczy się twarz Niemna,
I nie rozjaśni, aż znowu doń słońce
Pośle swój uśmiech przez promienne gońce.
— Siostro kochana, co leżki te znaczą?
Śmiał cię kto skrzywdzić? — brat pytał troskliwie.
— Ach! nie, mój bracie, ja nie wiem praw-
[dziwie —
Odrzekło dziewczę — nie samych krzywd płaczą.

Życie w marzeniach i sny są na jawie,
Co się ze sobą niby pasma łączą;
Biada niebaczny, kiedy się popłaczą,
Iż ich rozdzielić niepodobna prawie.

Tak dni wiosennych jam splątała przede
I nie wiem sama już co jest marzeniem
I co jest szczęściem i co jest cierpieniem,
I oto płaczę w daremnj mitrędze...
Lecz jak to dobrze żeś przyszedł, jedyny!—
Tu przez łzy dziewczki błysł uśmiech niewinny.

Ale młodzieniec mocniej się skłopotał:
Litwin ni przedzy ni uczuć nie motał;
Więc rękę siostry wziął tylko w milczeniu
I wiódł ją zwolna i usiedli w cieniu.
On zaszępony i milczący siedział,
Chciałby pocieszać, ale jak? nie wiedział.
Gdy piękna siostra uśmiechnie się znowu:

— Biedny mój bracie, zmartwiłam cię, widzę;
Te łzy dziecinne... ale już się wstydzę,
Spójrz tylko na mnie, gdy nie ufasz słowu.—

I tak patrzyła dziewczę jasnookie,
Iż o łzach z oczu zapomniał brat pono,
Co takie modre a takie głębokie,
Jako Bałtyku litewskiego łono...
A ona rada że tak patrzeć umie,
Na chwilę blade zrumieniła czoło:

— Ach, czemu Gedo tak mię nie rozumie!—
Rzekła wpół-smutno a nawpół wesoło.

— Był tutaj stary i dziwną pieśń nucił:
Duszę przeraził i serce zasmucił
I odszedł gniewny, jakby mu co winny
Białe lilije, lub tęskne dziewczyny.
A odszedł właśnie gdy go spytać miałam,
O co się dotąd daremnnie pytałam
Księżycą w nocy i gwiazdek na niebie
I kwiatów moich, ach! i samej siebie:

Gdy skinie Perkun—wnet pioruny biją,
Nie świeci słońce gdy je chmury kryją;
Wzdyma się morze, gdy nań wiatry dmuchną
I szumią puszcze i skargi zawodzą;
Szron zwarzy kwiaty, co się wiosną rodzą,
Od iskry z łomu płomień wybuchną:
Rusz piasek na dnie a zamącisz wodę:
Wszędzie przyczyna poprzedziła skutek.
A któż zamącił moje życie młode?
Zkąd na nie przyszły tęsknota i smutek?—

A Swarno milczał, bo Swarno nie wiedział.

— Dziewico, starzec już ci odpowiedział,
Aleś ty rzekła, iż cię nie rozumie
I takeś dalej mówiła w zadumie:

— Gedo bez serca przesądny strach szerzy.
Lecz wiary nie da, ten co sam nie wierzy.
Pielgrzym, ach inny... Co ci to, mój drogi?

Swarno się zerwał:

— Siostrzyczko, na bogi

A więc on znowu, znowu tu przychodzi,
Ten dziwny pielgrzym?

— I cóż ci to szkodzi? —

— Co? Jużci szczęścia ni spokoju nie ma,
Kędy gościnnie przyjmują pielgrzyma.
Wierzę staremu, bo przeżył lat wiele,
Bo nie zawodzą starzy przyjaciele:
Gdziekolwiek błędni przejdą cudzoziemce,
Za niemi w tropy zbrojni dążą niemce.
Obłudna u nich i nieszczerza mowa:
Mają miód w ustach, lecz to miód zatruty,
Gorszy sto razy od gorzkiej cykuty:
Pokój zwiastują, a każdy z nich chowa
Kamień w zanadrzu. —

— O, nie mów tak Swarno!

Niech Wajdalota piorunami ciska,
Ty nie potępiaj, zanim poznasz zblizka
Tego, co czyste przynosi nam ziarno.
W jego spojrzeniu nie masz cienia zdrady,
I cóż, że niemiec, jeśli bez obłudy?
Bóg do braterstwa stworzył wszystkie ludy.

Lecz Swarno powstał, a był mocno błady;

— Co ty powiadasz? To krzyżacka wiara! —

— Nie, drogi bracie, to jest wiara inna!

To wiara święta, to wiara jedyna:

Jój godłem miłość, a szczytem ofiara.

Czyś ty, moj drogi, poza Litwę biedną,
Nigdy twą myślą nie wędrował młoda?
Wszak już świat cały żywi wiarę jedną,
I byt spokojny wszystkie ludy wiodą;

Czyś ty, mój drogi, coś starszy ode mnie,
Żadnych z Malbarga nie wyniósł pamiątek?
Czyś ty do świątyń uczęszczał daremnie
Albo pamięci postradałeś wątek?

O! nie patrz na mnie tak, Swarno jedyny;
Długie ja, długie, dumałam godziny,
Nimem nad wiary przesądnej zawilość
Przeniosła wiarę w nieśmiertelną miłość...

— Siostro, ach! siostro, jakże jesteś płocha —
Rzekł brat ze smutkiem: — Więc już wpadłaś
w sieci,

Niebaczne ptaszę. Lecz ty masz rodzica;
Takich tajemnic nie chowają dzieci.
Niech i twój pielgrzym, co tak wiarę kocha,
Wręcz ją opowie; obszerna świetlica
I ogień jasny, wybaczą kobole,
Znajdzie choć niemiec, chleb na naszym stole,
Niech róg alusu z rodzicem wychyli,
I rzecz prowadzi, abyśmy wierzyli...

Tu umilkł młodziak, bo postrzegł zjawisko:
Wysokie, ciemne, ze szłykiem na głowie.
Nie przyszło ono, a było tak blisko...
Zdziwił się zatem i czekał co powie.

Chociaż dziewczęta u boku rycerzy,
Jako pisklęta pod skrzydłem macierzy,
Poblada nagle litewska dziewica,
Ale rumieniec powrócił do lica,
Kiedy w zjawisku poznała pielgrzyma.

— Darujcie, rzeczce, — za grzech jednej chwili;
 Ta ustron leśna tajemnic nie trzyma,
 A wy tak głośno ze sobą mówili.
 Nie przysłem tutaj na podle podsłuchy;
 Los chciał, jednakże... Tém krócej zabawię.
 Litwinie, mądre natchnęły cię duchy:
 Jam winien zdrady, dowody zostawię.
 Dziewico Biała, jam cię podszedł skrycie:
 Jam cię nakarmił słowy zatrutemi:
 Pan Bóg miłości mieszka na błękiecie,
 Ale Go nie masz na przekłętą ziemi!

A jednak, wczoraj... tak, to wczoraj było:
 Słońce tak jasno nad nami świeciło...
 Kto rzucił przepaść pełną mar i cienia
 Między dnie, chwile, ach, dwa oka mgnienia?
 Kto? Nim odpowiem, niech wróć ci zdrowie:
 Czystej dziewicy przebaczą bogowie,
 Gdy im poświęcisz garść wonną bursztynu,
 Bo to bogowie łagodnego gminu,
 Co błogosławią zacisznemu życiu.
 Pozostań piękna, pozostań w ukryciu,
 A wróćąc wszystko: rumieniec, uśmiechy,
 I miłość braci i rodzinnej strzechy.
 Bo patrzcie tylko:—Tu pielgrzym odpina
 I zrzuca kaptur i długie opony:
 Oslupiał Swarno, krzyknęła dziewczyna:
 W błyszczącój blasze, jak noszą Teutony,
 Stał przed niemi zbrojnie krzyżak młody.
 — Swarno, przyrzekłem, oto me dowody.

Nie szukaj broni, nie masz jój; lecz oto,
 Jeśli ci pilno, weź ten miecz krzyżaka:
 Uderz! Co? nie śmiesz? Schlachetna prostoto
 Serca dziewczyny i serca junaka!
 A więc posłuchaj, krótkie dzieje moje,
 Dziś jeszcze nasze, słuchajcie oboje:

POWIEŚĆ MŁODEGO KRZYŻAKA.

Tam, na Zachodzie, gdzie niebios błękity
 Nigdy się mgłami nie szpecą szaremi,
 Gdzie wieczna wiosna, choć śnieżne gór szczyty
 Toną w lazurach aby świecić ziemi;

W krainie gromów, jest, z głazów granitu,
 Zuchwalsze gniazdo niż orla u skały;
 Wita je pielgrzym okrzykiem zachwyty:
 To moje gniazdo, on zamek wspaniały!

Strzegąc doliny na chwałę narodu,
 Skamieniał w chwale i gromy odbijał;
 Trubadur śpiewał dzieje mego rodu,
 A wiek za wiekiem nadchodził i mijał.

Każdy niósł gromy lecz ciszę zostawił;
 Nikt tu nie widział głosek Baltazara,
 Pan Bóg widocznie gniazdu błogosławił,
 Chociaż wisiała Jego nad niem kara...

Luder von Harzhals był twardszym niż głazy,
 Bo prób ogniowych przechodził koleje;
 O nim rzekł Cesarz: — To rycerz bez skazy! —
 Niezwyciężonym, głosiły turnieje.

Orłowie żeru szukają w dolinie
I maż rycerski za zdobyczą goni;
W orłowych szponach słabe jagnię ginie,
Umiera kupiec od rycerskiej broni.

Któż się orłowi przyganić ośmielił?
Znają swe prawa rycerscy mężowie,
Iż je mój ojciec wraz z innymi dzielił,
Zacóż mu honor odjęto i zdrowie?

Straszne wspomnienie! Pod same ostatki,
W ostatni tydzień zapustnej zabawy,
Jam widział bladłość i łzy mojej matki:
Ojciec zbyt długo nie wracał z wyprawy.

Biędny mój ojciec: gdy tak we łzach cała,
U stóp cudownej Rodzicielki Panny,
Matka, o życie dla niego błagała,
Powrócił żywy, ale ciężko ranny...

.....
Otwarto skrzynię ładowną łupami:
Matka zajrzała i nagle pobladła;
Zajrzała jeszcze; ach! wzrok ją nie mami:
Jękała boleśnie i bez zmysłów padła...

Zbiegła się rzesza u złowrogięj skrzyni,
Powstał szmer zgrozy, bo w niej był skarb święty:
Drogie ozdoby i sprzęty świątyni,
Złote naczynia zdobne w dyamenty...

I zadrżał zgrozą nasz zamek ze skały,
A wieść stugębna pobiegła w doliny,
Aż jednogłośnie krzyknął naród cały:
„Luder von Harzhals świętokradztwa winny!”

Zaczém prywatą ubierze się podła
W togę sędziego, gdy pewnej niedzieli,
Herold biskupie niosąc przed się godła,
Taką zapowiedź ludowi udzieli:

„Ogłaszam wiernym, w biskupa imieniu,
Iż Luder Harzhals jest Kościoła wrogiem,
Bo kłam zadawszy ludzkiemu sumieniu,
Podniósł nań oręż, by bojował z Bogiem:

Ograbił kościół, (skarż go Jezu Chryste!)
Ciężki interdykt ściągnał na krainę,
A na swą głowę przekleństwo wieczyste:
Klnij kapelanie, tak niech zbrodniarz ginie!”

I szedł kapelan i smutnie poglądał,
W żałobnych szatach stanął na ambonie,
Wyklął, o wyklął, jako przepis żądał:
Już świece gasi... naród we łzach tonie...

.....
O, wy szczęśliwi! słuchacie spokojnie
Powieści Niemca, lecz mam-że się dziwić?
Wszak ja z tych jeden, co przychodzą zbrojnie
By najprzód zabić, potem uszczęśliwić.

Rzekomo mściwe obalamy bogi:
Lecz czémże zemsta waszego Perkuna,
Co łamie dęby, a oszczędza wrogi,
I na kraj cały nie wkłada całuna?...

Boże karzący! gdyby świat w posadzie
Zadrżał i niebo miało się uginać,
Gdyby spadł księżyc w gwiazd ognistym gradzie
I on dzień straszny Sądu miał zaczynać;

I z krańców świata Archaniołów chwała
Zadeła w trąby na umarłych wstanie,
Większejby matka grozy nie doznała:
I czymże takie ściągnęła karanie?

Oto ją niosą do domu bez duszy,
Kędy już ojciec nie płakał po sobie,
Bo go interdykt nawet nie poruszy,
Choć prześladował wyklętych i w grobie.

Umarł — a ciało na cmentarzu gniło,
Bo drzwi kościoła na głucho zabito,
Bo dla umarłych pogrzebu nie było,
Nie było stypy, ni w dzwony nie bito.

A matka? matka!... dziś już nie wiem zgoła,
Czyli złorzeczyć, czy mam wielbić Pana:
Wstała spokojna, ach! nawet wesoła.
A ludzie rzekli: „Biedna obłąkana!”

Rozpierzchła służba, pogasły kagańce,
Pielgrzym skwapliwie od bramy uciekał;
Tak gdy zaraza pobije mieszkańce,
Próżno gościnny dach na gości czekał...

Cisza ponura zaległa przedsienia,
Po korytarzach wiatr nocą zawodził
Współ z puhaczem, pieśni potępienia,
Z których się robak zwątpienia narodził...

Nie wiem jak długo straszne sny się śniły.
Matka umarła!... ani na pogrzebie
Zapłakać śmiałem u drogiej mogiły:
Czułem, że w piekle i że ona w Niebie.

Kiedym nareszcie mógł rzucić na zawsze
Gniazdo mych przodków, ja, orzeł bez skrzydeł,
Byłem szczęśliwszy, a Nieba łaskawsze,
Bo się wyrzekłem siedliska strasydeł.

Otto Osterna w konwencie z pobliza
Przyjął sierotę, przebyłem dwie próby,
Zbytecznej próby; jam przyrosł do krzyża,
Więc uroczyste wykonałem śluby.

I ku Północy pobiegłem z innemi,
Wierzący święcie w misyją Zakonu,
W misyją miecza, więc litewskiej ziemi
Życzyłem z duszy rychlejszego skonu.

Przyjąłem chętnie trudny posterunek,
Zkąd wam Litwini zadawałem ciosy,
Na ów rzekomy z pogaństwem rachunek,
Tłumiąc sumienia rozpaczliwe głosy.

Wiara mię wiodła — owa ślepych wiara
W słoneczne duchy i barwy kolorów,
Kędy mgła była cuchnąca i szara
I otchłań ciemna i zgraja upiorów...

Tak, byłem ślepy, dziś widzę to jaśnie,
Lecz przeznaczenia nie mogę ominąć;
Widzę mą gwiazdę, jak blednie i gaśnie:
Któż mi wzrok wrócił, kiedy muszę ginać?

Nadobny kwiecie litewskiej dąbrowy!
Za wiele blasku Bóg wlał w twoją postać:
Przy tobie ujrzał świat mi całkiem nowy,
Ślepotą moja nie mogła się ostać...

Pamiętna chwilo owego wieczoru,
Gdym poraz pierwszy ujrzał ciebie w boru!
Jasna królowo, w twych równiennic kole;
Strój miałaś biały i wieniec na czole,
A na ołtarzu litewskiej bogini
Tlał wonny ogień...

Gdyś go podsycala,
Wówczas zacząłem wspaniałość świątyni
I wiary waszój podziwiać prostotę,
I wam przyklasnąć już miałem ochotę,
I dusza moja nagle przewidziała...

Jak człek na łożu śmierci, przed skonaniem,
Śpieszy swęj duszy nieść ulgę wyznaniem,
Dziewico, śpieszę zamknąć powieść słowy:
Kocham cię! Teraz, jam umrzeć gotowy.

Umrzeć! a jednak, jam nadzieję żywił
I stanowiłem już dalej nie zwlekać;
Więc błagać ojca aby uszczęśliwił,
Więc złamać śluby i z tobą uciekać,
Z tobą, o kwiecie cudzego ogrodu!
A dziś!... Nieszczęsny! jako zwiastun klęski,
I jako Herold od Maryi Grodu
Staję przed wami!...

Ha, precz żal niemieżki!

Piękna litwinko i ty sępie młody,
Słuchajcie wieści brzemiennej klęskami:
Mendog dla Litwy krwawe głosi gody.
Ten kniaź uległy i któżby uwierzył?
Własne przysięgi podeptał nogami!

Trojden zwyciężąc z Nowogródka wrócił:
Zapalił Prusy, pożogę rozszerzył
I Chrześcijaństwo na Żmudzi wywrócił.
Zamki w płomieniach...wycięte załogi...
Nasze rycerstwo uchodzi lub ginie...
Ucztuje Litwa, z nią pogańskie bogi...
Opustoszały Chrystusa świątynie.
Ucztuje Litwa: lecz biada jej, biada!
Bo rozpaczliwym nie władnie uporem,
Bo Zakon upiór, choć głowę postrada,
Znowuż ją znajdzie i będzie upiorem!...

Oto ostatnia przestroga krzyżaka;
Gdy miecz przypaszę, ach! jutro o świcie,
Wiążą mię śluby i honor wojaka:
Będziem wrogami na śmierć i na życie! —

Swarno ostatnie wiadomości chwycił,
Jako biesiadnik pierwszy puhar wina
I duszą Litwę, żywą Litwę witał,
Pogrózką wzgardził, miał duszę Żmudzina.

Nadobna siostra radości nie dzieli:
Sercu jej obce dusz męzkich prawidła;
Razi ją płomień co ze stosu strzeli,
Krwawe tryumfy, to krwawe straszidła.
Lecz lża niewieścia i na licach bladeść
Przeciw sumieniu nie zbuntują męża:
Podepcze serce, by mu czynić zadość
I oto ginie, lecz razem zwycięża.

— Płaczesz, dziewico! — obcy rycerz woła —
 Jakiemikolwiek są twych łez przyczyny,
 Niech będzie niemi moja myśl wesola
 I każda chwila swobodna zatruta,
 Niechaj mi w ciernie zamienią wawrzyny,
 Aż zgorzknie życie jak długa pokuta.

Jakżebyśm pragnął... lecz ach! mamże prawo?
 Nie, ty milcz lepiej, mnie nie wolno pytać;
 Ledwie śmiem z oczu, z twoich oczu czytać:
 O! nie patrz na mnie, o, nie patrz tak łzawo!
 Niegodny smutek; zapytaj rodzica,
 Niegodny smutek, brat za nim powtórzy,
 Pytaj się bogów, słońca, gwiazd, księżycą,
 Spytaj u Litwy co w krwawej kałuży:
 Siebie się spytaj, ach! i mnie nakoniec,
 Odpowiedź zawsze brzmieć będzie jednaka:
 Niegodny smutek! Zapomnij krzyżaka,
 Niech 'ginie krzyżak, przyszłych nieszczęść goniec!

Jest w mój ojczyźnie zwyczaj uświęcony,
 Iż rycerz zacny gdy idzie na boje,
 Kolor kochanki bierze ulubiony,
 A damy chętnie dają wstęgi swoje;
 Bo choć w potrzebach krwawione i mięte,
 Wstęgi takowe talizmany święte,
 Co ramię skrzepią i tryumf przyspieszają,
 Trudy osłodzą, w tęsknocie pocieszają.

Litwinko, wstęgi mi nie dasz na drogie;
 Lecz ja przemocą, tę lilią, niebogę,

Porywam oto: jako' ty jest białą
 I równie piękną, równie doskonałą.
 Pójdź, biały kwiecie! na piersiach cię złożę:
 Taki talizman, wiem, zbawić nie może,
 Wszakże osłodzi skon już niedaleki...
 A teraz żegnaj, żegnajcie na wieki! —

To mówiąc młodzian tuż u stóp dziewicy
 Uszczknął niewinny ów kwiat bladolicy
 I ukrył śpiesznie, jak gdyby w obawie,
 I téjże chwili nie było go prawie.
 Błyskał po drodze blachy krzyżackiemu,
 A strój pielgrzymi pozostał na ziemi,
 A nad nim Swarno mocno zadumany.

Serce dziewicy ścisnął ból nieznany:
 Niosły mu ulgę łez jasnych strumienie,
 Ale lzy owe znaczą potępienie;
 Choćby z przed sądu pogańskiego świata,
 Uciec się chciała pod sąd swego brata:

— Przebacz więc — rzekła — już płakać nie będę;
 W jękach niewczesnych nie wyda mię skarga:
 Wieczném milczeniem związę usta moje
 I do wrzeciona z dziewczętami siędę
 I nikt nie zgadnie, co mi duszę targa.
 On sam dał wyrok: on poślubił boje...

Masz słuszość, bracie, to wiara omylna:
 Nie chcę was więcéj, o wy kwiaty moje,
 Marzenia senne! Pójdźmy ztąd oboje,
 Pójdźmy do ojca; wszak wiadomośc pilna?
 Niechże jój ojcu syn pierwszy udzieli.

Niech żyje Litwa! Wy bądźcie weseli.—
Rzekła i poszła.

Ze spuszczonego wzrokiem,
Randon w świetlicy siedział u ogniska,
Co dogasając krwawe smugi ciska,
Iż się płomieniem nie zajmie szerokim.
Tylko po ścianach migoce i broni
I na dobranoc oko starca płoni.

Nie słyszał ojciec i nie widział syna
Co doń przystąpił i rozpromieniony,
— Ojciec—rzekł—ojciec; stała się nowina!—
Starzec wzrok podniósł przygasły, zamglony:

— Nowina? proszę, a cóż mię obchodzi
Co się na świecie kończy, lub poczyną,
Co ma umierać i co się narodzi?
Co? Mówże kogo tyce się nowina?—

— Litwy.—Ha! Litwy?—

Tu z miną surową

Stary się zwrócił i pokiwał głową:

— Litwy! cóż Litwę obchodzić już może?
Ona upadła i dawno skonała
I stos jej zagał i chwała przebrzmiała
I zardzewiały ofiarnicze noże,
A syn Ryngoldów, jak głaz na kurhanie,
Za straż bezpieczną jej popiołów stanie.
Na toż mu Niemce aż do końca świata
Koronę wieźli i płaszcz kraśny dali,
Zaiste godne zważyć się na szali,

Z czapką błazeńską, z kurtą Niemca kata;
Chociaż je Mendog tak wysoko ceni,
Iż się zbył dla nich Bałtyku wybrzeży,
Prus, części Litwy i Żmudzi połowy:
Wszystko smok połknął, co się druhem mieni!
Wszystko!... i resztę już połknąć gotowy.

Zbierasz nowiny: był tu Gedo właśnie,
A co mi przyniósł, to nie gminne baśnie:
Ma on przyjaciół na książęcym dworze.
A wiesz ty, synu, co tam urządzono?
Jakie tam skrypty pieczęcią stwierdzono,
I na co Mendog zaprzysiągł w pokorze?
Oto, gdy umrze, a umrze bezdzietnie,
Prawa do Litwy leguje szlachetnie
Na rzecz Zakonu! Cóż ty na to, synu,
Pomyślniej wieści pośle nieczekany?
Jeżeli niesiesz, co gmin spłotł pijany,
To zamilcz raczój, a powróć do gminu.

— Nie gmin, mój ojciec, mam ze źródła wieści:
Mendog, Zakonu przyjaciel ów czuły,
Podeptał nagle teutońskie tytuły
I wrócił kniazem wszej Litwy do cześci,
I dobył z pochew miecz wielkoksiążęcy,
I pobił wrogów już wiele tysięcy,
Tak, iż z téj groźnej krzyżackiej nawały,
Zaledwie resztki podobno zostały
Na świadków klęski i patrzą bezczynnie,
Jak w gruzy leżą Chrystusa świątynie.—

Niby człek ze snu gwałtownie budzony,
Randon wytrzeszczał nieruchome oczy;
Otwierał usta jak człowiek zdumiony,
Aż wreszcie syna ramieniem otoczy:

— Prawdaż to, synu? pewne to?

— O pewne!—

I z oczu starca łzy pobiegły rzewne:
— A mówże przecie zkądś dostał języka
I czemu Gedo nic o tém nie wiedział? —

— Ojcie, przypadek... wieść chyżo pomyka...

Snać Wajdalota w świętym gaju siedział.

Wkrótce wieczorna zabłyśnie bogini

I stos zapali i będziemy wiedzieć,

Kędy się zbrojni gromadzą Litwini,

Tylko mi proszę, chciój teraz powiedzieć,

Czy pójdę z niemi? czy będziemy czekać? —

— Czekać? nie, synu, nam nie wolno zwlekać:

Odkąd się trąba odezwie wojenna,

Miejsce Randona u boku Trojdena.

Jutro, dziś jeszcze... wybór będzie chyży,

Lecz pójdźmy w pole: oto zmrok zapada.

I poszli męże, kędy Sargos ryży,

W bramie, u mostu, na kamieniu siada,

A po za niemi jakaś postać biała,

Nieśmiało, lekko jak widmo, stapała...

Zachodnia zorza już świecić przestała,
I gwiazd miliony migocą w lazurze;

Jakaż to gwiazda ma wschodzić wspaniała,
Iż nową zorzę odbiła na chmurze?

Drżą przed tą gwiazdą fusknechty na czacie,
A Komtur blade bada zamku szafce,
Pielgrzym wzrok spuszcza i liczy różańce,
Niewiasta płacze we dworze i chacie,
Bo ją krwi cheiwy bóg Kawas zapalił,
By jednych pobił a drugich obalił...

Ale Randonas, jako Litwin prawy,
Z Niemcem, z niewiastą ich uczuć nie dzielił:
Pierwszy on dojrzał stosu rąbek krwawy,
Zanim się luną po niebie rozstrzelił;
Pierwszy on wskaże drugi punkt północny
I trzeci dalszy, zanim rozgorzały
Rumieniąc groźnie połowę niebiosów.

I ożył stary; bo wiarą wstał mocny,
Odzyskał zapal, więc odmłodził cały
I miał nadzieję lepszych dożyć losów,
Bo mógł zawołać: — Żyje Litwa, żyje! —
A stos wojenny krwawo odpowiada,
Rumieniąc widzom i twarze i szyje...

Próżno się skrywasz dziewico, u bramy:
I na twych piersiach krwawe świecą plamy,
A ptaństwo nocne woła: „Biada, biada!”

— Synu,—rzekł Randon—to gwiazdy nadziei;
Lecz—dodał stary uroczystym głosem —
Może je niemcy pogaszają z kolei,
Może ty także padniesz pod ich ciosem.

Któż zgadnie przyszłość, co na skale ryta
Runami bogów! Sam Pramzu ją czyta
I sam nadzieją przeplata rozpaczę.
Gdy cię pożegnam, któż wie czy zobaczę.
Dzisiaj więc muszę już tobie powiedzieć,
Czegobyś wczoraj niepowinien wiedzieć.—

I starzec myśli porządkował w tłumie,
Bo chwilę milczał w ponurój zadumie.

— Oto, mój synu, mam rachunek krwawy,
Zemstę, co dotąd żywiłem ją skrycie.
Ubiegły lata, zapomniano sprawy
I ot jak moje sterało się życie!
Jużbym zadaniu wielkiemu niesprostął.

Stenzel von Bertheim zdrów i cały został—
Ani mu straszne mój miecz i cięciwa—
Rother postarzał... Kto się tak nazywa?
Bitter von Rother... ha, co bądź się stanie,
Muszę zarzewie położyć na ranie:
Niemcem Rotherem to ja byłem, synu!
Tak, Zakon sługę wyróżnił od gminu.
Byłeś zbyt młody i sprośne to miano
O uszy dziecka obić się nie mogło,
Chociaż powszechnie tak mię nazywano.
Nie wiem, wstyd jakiś, sumienie przemogło,
Dla was zostałem choć podłym Litwinem;
Lubo twa matka piękna jak marzenie,
O, nazbyt piękna, zajrzały mi bogi,
Śmiała się ze mnie, bo mową i czynem,
(Takie już było nasze zaślepienie)

Do spółki ze mną zdradzała kraj drogi,
Śmierć mu gotując ze stypą na grobie...

O! zgrozo, wiary nie dałbym sam sobie,
Gdyby nie pamięć, niestety, zbyt wierna,
Boleść codzienna, a boleść niezmienna:
Był czas w mém życiu, głupiec, choć niemłody,
Kiedy hołdując bałamutnej wierze,
Zakonne z mnichy mawiałem pacierze,
Zadatek szczęścia ludów i swobody,
Widząc w słów pustych bezowocném brzmieniu,
Więc w przyszłym życiu i przyszłym zbawieniu.

Drażnił mię upór mojego narodu,
Gniewał brak wiary w misyją Zakonu;
Gdy zaś kto upadł jak ja z mego rodu,
Zajrząc mu życia, winszowałem skonu.

Swarno, o związek nie pytaj w powieści,
Co serc nie koi i ucha nie pieści
I jest wspomnieniem jako sen na jawie
I jest boleścią jak męczeństwo prawie.
Gdybym mógł zasię, jedną nić żywota
Ogniem wypalić, lub wyciąć żelazem!
Ha, próżne chęci: pasmo gdy domota,
Przetnie je bóstwo, ale jednym razem...

Tu westchnął Randon, zwisła na pierś głowa
I długo ważąc zwolna cedził słowa:

— Święto w Malborgu, było wielkie święto,
Co się przez woźnych ludowi ogłasza:
Byłem szczęśliwy ja i matka wasza.
Płynęły wojska .. w dzwony bić poczęto...

Tłumy w ulicach zwarły się i gniotły...
 Trąbiono w trąby... uderzono w kotły...
 Mocarz z Zachodu jechał do nas w gości:
 Ottokar, czeski król, wiodąc ze sobą
 Wojska zwyciężkie. Był to dzień radości,
 Choć całą Sambiją nappełnił żalobą...
 Śmiano się, śmiałem i śmiała się ona,
 Tak nas bawiła złocista korona
 Na czole króla i jego purpura.
 Na niej krwi własnej niedostrzegłem zgola,
 Dziś wiem, że była.... Uśmiechy dokoła,
 Bo postać króla śmiała się ponura,
 Co w prawej ręce dzierżał miecz dobyty;
 Lecz za to lewą szaty jako śniegi,
 W złociste hafty, lamowane brzegi,
 Między litewskie dzielił neofity.

Brali te płachty nasi Sambijczycy,
 Płacąc je wiarą, krajem i swobodą —
 Wszeteczni zbóje pod rąbkiem dziewicy!
 I jam też sięgnął... Kiedy bydlę wiodą
 Kapłani na śmierć, przystrojone w kwiaty,
 Tak dumne z kwiatów, jak ja byłem z szaty.
 Gołąbka moja była uśmiechnięta...
 Taki był koniec Malborskiego święta.
 Koniec? co mówię! taki był początek:
 Mistrz dawał ucztę, poszedłem z innemi:
 Zamek jak kocioł gdy w nim kipi wrzątek,
 Wrzał i wybuchał krzyki pijanemi...

Mamże ci uczty opisywać całość
 I sprośnych żartów błazeńską subtelność,
 Pieśni minstrelów i króla wspaniałość,
 Opilój zgrai swawolną bezczelność?
 Nie, to rzecz Niemców, bo w mowie Litwina
 Krwi i łez dosyć, ale niemasz wina.

Dziś, wyrzutami samotnik sterany,
 Z boleścią pytam, ku jakiej potrzebie
 Tej strasznej nocy nie byłem u siebie?
 I czemum winem niemieckim był pijany?

Któs spytał w tłumie:—Gdzie Stenzel z Bert-
 [heima?

(Druh mój rzekomy co mię wiódł przed króla)
 — Ritter von Bertheim!—woła czerń uprzejma,
 Lecz go nie było... Wtém, słowo jak kula
 Z niemieckiej procy, w serce mi ugodzi:
 — Gdzieindziej przyjaźń ma on snąć na pieczy:
 Żony przyjaciół toć rycerska niwa.—

W pijaném gronie śmiech się bujnie rodzi,
 A gdy się wzmoże, jako nóż kaleczy
 I rozplomienia jak ogień oliwa.
 Pragnąłem tłumiąc iskry pod żarzewiem,
 Wychylić puhar, puhar się wywrócił...
 Jam wstał... śmiech... potem cisza i już nie wiem
 Jakem aż z Zamku na przedmieście wrócił...

A już jutrenka płoniła się lekka,
 Kiedym zapukał do wrót mego domu;
 Wtem, zpoza węgla, przemknął cień człowieka,
 A stapał cicho, niby pokryjomu...

Perkun odstępce straszną myślą skarał:
 — To gach żoniny wymknąć mi się starał —
 Byłem pijany, pijany podwójnie,
 Rozsądku z sercem porwały się spójnie,
 Poznałem Stenzla!... dość mi było na tem
 By zostać sędzią mój żony i — katem...
 A wyście spali, spali tak bezpiecznie,
 W noc, w której matka miała zasnąć wiecznie...
 Tu umilkł Randon i wzrok pełen trwogi
 Skierował nagle ku bramie, gdzie stała
 Dziewica córka; poznał ją: płakała.
 — To ty? — Ja, ojcie. — Nieśmiertelne bogi!
 A więc i ona... Ha, pójdziecie oboje.
 Chciałem przed dziewczką stare ukryć blizny
 I wielkie grzechy i pokuty moje;
 Lecz snąć do równej ma prawo puścizny...
 Pójdziecie oboje, póki pora służy,
 Chcę wam ostatnią pozostałość oddać
 Po niej, po matce; legat to nieduży,
 Lecz niemniej święty. —

I kroki ciężkimi
 Posunął starzec, snąć nie chciał się poddać
 Nagłej słabości, co gniotła ku ziemi.
 Minał czeladkę, co radziła gwarnie,
 Milcząc, otwierał świetlicy podwoje,
 Wszedł i zawahał: niemoc go ogarnie.
 — Pójdź sam, mój synu, nim pójdiesz na boje,
 Oto w tej skrzyni skarb święty się mieści,
 Tyś krzepki, otwórz! —

Łańcuch zgrzytnął, brzęknął,
 Wzniosło się wieko; tu starzec przykłęknął,
 Czy ze starości, czyli też z boleści
 Drżały mu ręce, gdy dobył z ukrycia
 Pożółkłą płachtę, w hafty i oszycia,
 Z wielką, jakoby plamą, ciemną, rdzawą.
 Starzec ją wskazał i milczał ponuro.

— To krew! — Tak, synu; tę wam szatę krwawą
 Zachował ojciec. Czyli głos natury
 Nic wam nie mówi? to krew waszej matki. —
 — A szata, ojcie?

— Milcz!

Tu Randon stary
 Rzucił się wściekle, jak zwierzę przed ogary,
 Sił swych w obronie trawiący ostatki.
 — Milcz! bobyś kłamstwo wyzionął bezczelne:
 My, ja i ona niewinni, on winny,
 Krzyżak von Bertheim! Bogi nieśmiertelne!
 Jeżeli on żyje, lub zostawił syny,
 Swarno, ku zemście szukaj ojca duszy,
 Lub pobij syny litewskim żelazem!
 Tak matkę, ojca, pomścisz jednym razem:
 Mateczynę śmierci, ojcowskiej katuszy. —

Tu starzec w drżące twarz ukrywał dłoń.
 — Precz ztąd! chcę zostać sam na sam ze sobą.
 Ostrzyć topory i szykować konie!
 A ty, dziewczyno, poco nocną dołą
 Porzucasz izbę i dziewicze łóżę?
 Pójdź a spoczywaj, by jutro pleść wianki

I niech cię strzegą Nimfy, twe kochanki:
Dla męża ciernie, dla dziewcząt są róże.

I odszedł Swarno. Odchodził w zadumie:
Niósł ciężar w duszy i był jako chory,
Co swój choroby odgadnąć nie umie:
Poślubił zemstę i szedł po topory...

A białe dziewczę? Czyli ojcu g'woli
W dziewiczym łożu do snu się układa,
By do jutrzejszej sił nabrać swawoli?
A któż odgadnie, gdy noc nie powiada?
Gdyby jednakże brat podniósł był oczy,
W dziedzińcu, obraz postrzegłby uroczy;
Dziewiczą postać powiewną i białą,
Co ku znajomój spłynęła ustroni...

A stary Randon? Możeby noc całą
Bolał nad plamą, co się rdzawo płoni,
Gdyby sam został: niestety, w świetlicy
Był ktoś co słuchał i patrzył i badał
I gniewnie splotwał, gdy się ów spowiadał;
Aż go snąć spłoszył księżyc bladolicy,
Bo w najciemniejszy kąt się przed nim schronił,
Gdzie go już żaden promyk nie dogonił.
Lecz gdy się wszystko we dworze uciszy,
Randon stapania za sobą posłyszysz;
Lecz nie odwróci głowy i nie raczy
Spojrzeć za siebie: wie kogo zobaczy.
Co nań nie służą ni rygle ni wrota,
To stary Gedo, dziwny Wajdalota.

Co starce z sobą tej nocy mówili?
Co obmyślili i co uradzili?
Gdyby przejrzyjsza przyszłości zasłona!
Darmo; choć pycha zawodzi nas płonna,
Śmiertelne oko jej przebić nie zdoła.
Troska widniała obu starcom z czoła,
Gdy Wajdalota dwór rzucał Randona,
Co go jutrzeńka oblała czerwona.

Straszną jest postać rycerza Litwina
Chociaż nie jednéj w uzbrojeniu miary:
Ledwie dwu chłopów dobierzesz do pary,
Choć równi siłą, co postać to inna,
Inna wyrazem, lecz każda junacka.

Tu rogi turze przerażają zniecka,
Tam łeb niedźwiedzi nad głową rycerza,
Tu pierś kosmata, tam blachy pancerza,
Wiżos na nogach i buty ze skóry,
Niedźwiedzie burki kudłami do góry.

Ciężkich toporów Litwin się nie sroma,
A stary Żmudzin nad żmudzki miecz woli;
Bo dobra klinga to jak szłyk soboli:
Trzeba je zdobyć, nie rodzą się doma.

Kołczan przez plecy i łuk, co go nagnie
Sam tylko Litwin, iż ramię zaprawił
W zapasach z meszką, dławiąc go jak jagnię
W strasznym uścisku, by skóry pozbawił,
Co mu ozdobi żyłaste ramiona.

Z dziesięciu takich Litwinów złożona,
 Ledwie na niebie ranek zaczął świtać,
 Na żmudzkich koniach wybiegła drużyna,
 Aby u bramy wschód słońca powitać,
 Gdzie stary Randon pożegnać miał syna.
 Tu stary Sargos już czekał u progu:
 Chociaż słów darmo nienawykły ronić,
 Dzisiaj wodzowi śpieszył się pokłonić
 I podróżnemu polecał go bogu,
 Aby szczęśliwie do dom odprowadził
 I śmiał się stary i płakał i radził,
 Bo wodzem owym był pan jego młody,
 A Sargów wszystkie mają w Litwie rody.

Lecz oto Randon skinał niecierpliwie
 I most zatętniał, ruszono z kopyta.
 Wkrótce ślad tylko pozostał na niwie,
 Jeźdźce zniknęli. Czemuż w kupkę zbity,
 Stoi u bramy czeladź zamyślona,
 I Randon stoi i córka Randona?

Ilekróć w Litwie stos wojny zapłonął,
 Szły za nadzieją krwawych klęsk koleje:
 Nad niemi Litwin w dumaniach utonął,
 Aż z dumań znowu zawróci w nadzieje.

Biedny Litwinie i pociąg się ludził
 I senne dźwięki brałeś za wyrazy,
 Gdy oto słońce nie zaszło dwa razy,
 Pierzchły nadzieje a tyś się obudził;

Z wyprawy syna już tylko wspomnienie,
 A sen za sobą zostawił zwątpienie.
 Rycerze krzyża podeszli ci syna,
 I rozgromiwszy powiedli w niewolę;
 Gdy krępowano młodego Litwina,
 Jedno przypadkiem umknęło pacholę...

Wiedział znać Randon, co niewola znaczy;
 Ushnie w niej Litwin lub się przeniewierzy,
 I czołem bogu cudzemu uderzy.
 Wiedział, a jednak nie zdradził rozpacz,
 Nie wydał jęku z piersi skrzepłej nagle,
 Samotnych dumań rozwinawszy żagle,
 Niewdzięczne brzegi bez żalu porzucił
 I do starego nałogu powrócił.

Lecz białe dziewczę: szkoda dziewczki, szkoda!
 Od łez blask ocząt cierpi i uroda,
 Od smutku ustek pobladły korale
 I już z kwiatami nie igrała wcale.

Tak dnie i długie tygodnie mijały,
 Tak minął miesiąc jakoby wiek cały.
 Nie przyniósł wieści przychodzień z daleka,
 Bo niewidziano obcego człowieka;
 Daremnie Sargus i patrzy i słucha,
 Dokoła pusto było, cisza głucha.

We dworze smutno i chłodno jak w grobie,
Bo każdy chodził zamknięty sam w sobie:
Tylko dziewczęta u wrzecion szeptały,
Lecz nie śpiewały i nie chichotały.

Stary samotnik nie wyrzał z świetlicy,
A chociaż córka od ojca nie stroni,
Lecz doń nie śpieszy, bo pięknej dziewczicy
Milsza samotność w zielonej ustroni.
Zaczem ze dworu uciekała rada
I pod jaworem nieruchoma, blada,
Z załamanemi rękami stawiała,
W dal zapatrzona, zadumana cała.

Ile z tych dumań kwiatów się wyszło,
Ile z tych kwiatów cierni wyłoniło,
Ile skarg blade usta wyszeptaly,
Ile tam westchnień dobyło się z łona,
Zliczyły chyba Milda rozżalona,
Siostrzanych duchów i nimf poczet biały...

Wiedzą we dworze gdzie ustroń zielona,
Lecz żaden natręt nieśmie jej pokoju
Zamącić, odkąd niestało Gedona,
Co powędrował kędyś na plac boju,
Czyli przed święte w Romowej ołtarze.

Czasami tylko, Burtynik pochyły
Odwiedzi dziewczkę, ale to gość miły:
Ona go sadza i śpiewać mu każe
Pieśń o miłości: gęśl wtórzy tak śpiewnie,
A śpiewak nigdy kochanków nie dzieli!

Choć się poskarżą, pieśń zapłaczę rzewnie,
W końcu ukoi gdy nie rozweseli...
By dobyć światła, starzec użył cieni,
I oto księżę z księżniczką się żeni,
Co taka piękna jak gwiazda w błękiecie,
A miłość księcia długa, jako życie.

Gdy śpiewak skończy, dziewczę go obdarzy.
On święte ziola i popiół z ołtarzy
Zostawia wdzięczny i znowu w świat rusza
I znowu żywa nie zajrzy tu dusza.

Aż oto pierwsze posłańce jesieni:
Pożółkłe liście od boru wiatr goni.
Pożółknie reszta, klon się zarumieni,
A cóż się stanie z kwiatami ustroni?
Dziewico biała, zima je ochrania,
Lecz gdzie ty pójdziesz na ciche dumania?

Ciemno — choć jeszcze to nie zmrok wieczoru;
Tuman się w górze, niby Bałtyk kłębił,
Wiatr huczał — kruki krakały do chóru —
Krakały smutno, bo świat się wygiębił.

Czy to głos gromu odzywa się w chórze?
Lecz Perkun zwykle drzémie o tej porze.
I drzémał Perkun, to był tętent koni,
Niosących jeźdźce po czczochranęj błoni.
To z piersi jeźdźców tak płyną okrzyki
Niesforne, dzikie, bo tłum jeźdźców dziki.

Kurz ich powleka, niby zbroja szara,
Z spienionych koni dobywa się para.
Oto przed niemi Randonowa brona:

— Otwieraj, Sargu! szukamy Randona.

— Randona? — Sargos powtarzał bezmyślnie
I nie otwierał i zwłóczył umyślnie.

Randon z swój kłody porwał się w świetlicy —
Stanął i słuchał:

— Któż to na mnie woła?

Pobladły lica litewskiej dziewczycy:

Sargos napaści odeprzeć nie zdoła,

Jeśli nań wsiadły niemieckie rajtary...

Więc szedł w dziedziniec zbrojnie Randon stary.

Właśnie w téj chwili, pod przybyłych młotem,

Ciężka się brama otwarła z łoskotem,

A przez nią wpadli nieproszeni goście,

Gdy inni jeszcze tętnili na moście.

— Randonas! — krzyknie kilkanaście głosów.

Lecz wódz, ze zbroi znać i siwych włosów,

Skinieniem zgraje do milczenia wzywa.

Randon go mierzy bystrzymi oczyma,

Gdy nieznajomy tak się doń odzywa:

— Druhu, nas z tobą znać dogania zima;

Ty mię już nie znasz, a przecie pospołu,

U niemieckiego siadaliśmy stołu,

Niemieckie wino, własnąśmy krew pili,

No i przed krzyżem współ czołem bili.

Jam jest von Eisener! Nie strzelaj ślępami,

Bo dziś Gelżinis zwę się, na Perkuna!

I Gelżinisem umrę razem z wami,
Jakem bajoras z pod naszój Kłajpedy,

Jakem kunigas téj oto czeredy,

Co kędy stąpi idzie za nią luna...

I złym ja gościem do ciebie przychodzę:

Dzisiaj twój zamek na naszój jest drodze.

Nie tajno tobie, gdy ścisną rajtary,

Iż wolim szanice i palisad rzędy,

Bo my niedźwiedzie a niemcy ogary;

Otóż niedźwiedzie pójda dzisiaj tędy.

Dworzec to stary, Prusacy uparci,

Ciż jeśli zechcą okopów twych bronić

I osaczeni zostaną pożarci,

A kto uciecze to aby lży ronić.

— Kędy są nasi? — wręcz Randon przerywa.

— Ztąd ich zobaczysz, na Pokarwia błoni.

— A Niemce?

— Daléj, puszcza ich zasłoni,

A któż odgadnie co w sobie ukrywa?

Ale my gwarzym, a oto, Randonie,

Słyszysz ryk wściekły!... niemieckie to gwary!

Słuchają męże, a oko ich płonie,

Słuchają pilnie: wzdrygnął się wódz stary,

Wzdrygnął się Randon:

— Co okrzyk ten mówi?

Kto wódz? zkąd wojsko?

— Berg, Natangijczycy!

— Ha, więc śpiesz druhu i powiedz Bergowi...

Albo nie, czekaj, wnet wrócę z świetlicy.

I starzec jakby lat pozbył ciężaru,
Pobiegł i zniknął, lecz wrócił niebawem:
Wiódł z sobą córkę o spojrzeniu łzawém,
A w prawej ręce świecącą od żaru
Potrząsał głównią... W strzechę ją zatyka,
Dym wąziem pasmem powietrze rozdzielił —
Wnet buchnie płomień... gdy nad dach wystrzelił.
Eisener ku swoim z odpowiedzią zmyka.

Starzec i dziewczę u pożaru stali:
On niezachwiany i zimny jak skała,
Co stawia czoło rozhukanéj fali
Z niemą pogardą; ona, drżąca cała,
Wysłuchana w serce, co szybciej uderzy,
Grożąc zagadką w rozpaczliwém tętnie:
Czy ojciec Litwę tak kocha namiętnie?
Czy nienawidzi Krzyżowych rycerzy?...

Wylękała czeladź, przed groźnym żywiołem
Uszedłszy, pana okrążyła kołem
I szemrze głucho, lubo nikt nie zgadał
Czyli pan serce, czy rozum postradał.

Ale szmer głuchy, co uśpi czasami,
Niekiedy z martwych obudzić też zdoła.
Randon dłoń podniósł i pocierał czoła
I oczy przetarł, jak ten co się budził.
Płomień go parzył, wiatr miotał nań skrami,
Targał włos siwy, piersi nie ostudził.
— Ludzie, nie szemrzcie; bogi tego chciały.
Ty drżysz, dziewczyno — dlaczegożes bosa?

Pójdź, chociaż nocleg nie będzie wspaniały...
Hej, stary Kuno! zapłacać niebiosą,
Przyjmij do chaty i pilnuj mi córy.
Sam tu, pacholę, przyprowadź mi konia,
Poszukaj miecza... Ha, próżnobyś szukał.
Młota, maczugi — czegoś tak ponury?
Precz, nie potrzeba! Oto tętnią błonia,
Niech żyje Litwa! Prusak nie oszukał.

Tak, był to tentent nowy po równinie:
Zbliżał się szybko, z nim niesforne krzyki,
Niby pieśń gromka, lecz jój ton tak dziki,
Jak dzikie piersi, z których ona płynie.
Randon wie dobrze, co taka pieśń znaczy,
Bo Litwin pieśni z nut oceniać umie;
Choć słów nie słyszy, niemniej treść rozumie:
Wita zwyciężce, zanim ich zobaczy.

Lecz coraz bliżej brzmi dzika pieśń owa,
Oto z zamętu wypływają słowa:

UŁAMEK PIEŚNI WOJENNÉJ LITWINÓW.

Drżij Krzyżaku wrogil
Gniewne nasze bogi.
Choć niemiecka twoja szyja
Łuską błyska, gdyby żmija,
Nasze młoty
Grzmią w pozłoty,

Aż krwawemi spłynie poty
I gęgnie bestyja
I gęgnie bestyja!

*

Płoną stosy wojny,
Każdy Litwin zbrojny.
Bez ofiary stos ubogi.
Hej, u Niemca hyże nogi,
Więc w pogonie
Puszczaj konie,
Niech na stosie Krzyżak spłonie
I przejedna bogi
I przejedna bogi...

.

Na czele hufców jechał Berg zwycięzki,
Na dzielnym koniu, w szyszaku i zbroi.
Za nim pogromu ofiary i klęski:
Jeńcy Krzyżacy i knechci i swoi.
Wozy z rannymi, z kąd jęki i śmiechy
I hałas taki, że w nim pieśń konała,
Jako w pragarze kona ziemską chwałę...

Już tłum się tłoczy, gdzie wjazdowa brona:
Sparł się — już zgiełkiem napęlnia podwórze —
Już pohamować sam wódz go nie może,
Co radby słuchał powitań Randona,
A gdy ostatni z pożądanych gości

Przeszedł przez bramę, by siaść u płomienia,
Sargas ze smutku czy wielkiej radości
Zapłakał stary i z swego kamienia
Zszedł, aby więcéj do niego nie wrócił...

Precz, lzy niewczesne! a ktoby się smucił,
Gdy oto Randon nie smuci się wcale:
Gore dwór jego, lecz jakże wspaniale!
Za ciepło ognia i za światło łuny,
On kunigasy ściska i ciwuny,
Wybiera dla nich miejsca u ogniska,
Sadza kolejno i znowu ich ściska.

A między gośćmi co się zewsząd tłoczą,
Jest niespodzianka dla serca rodzica,
Jest syn, lecz smutny i blade ma lica.
Wprędce go starzy znajomi etoczą,
Lecz on ich zbywa słowy od niechcenia:
Skutek niewoli długiéj, czy znużenia.
Stary go Sargas może odgadywał,
Bo stojąc zdala tylko głową kiwał...

Gdy syn do ojca nie śpieszył się wcale,
Okło ojcowe spotkało wzrok syna:

— Swarno!

— Ja, ojcze — tuż szedł opieszale —

— Swarno! podwójnie szczęśliwa nowina!
Jakżeć z niewoli umknąć się udało?

— Jak? ojcze, pono nie czas na powieści:
Dziś serce nasze wdzięczności nie zmieści:

Niemiec dopomógł, że uszedłem cało.
 Hanno von Harzhals, owo Niemca miano.
 Lecz mściwe bogi nie przebaczą zdrady:
 Mego obrońcę z innymi schwytano,
 Jest więźniem naszym zgnębiony i blady...
 Ale ważniejsza dla ciebie nowina
 Jest, ojcze: zemstęś przekazał na syna,
 Wydałeś wyrok, twój syn go wykonał
 I wróg twój kona, jeżeli nie skonał.
 — Co mówisz, synu?

— Ha, pójdź i oglądaj!

To mówiąc Swarno wziął rękę ojcową
 I wiódł przez tłumy i w ciżbie postawił:
 — Ojcze, sam naprzód i więcej nie żądam.
 Tu odszedł śpiesznie ze zwieszoną głową
 I ojcu owoc zwycięstwa zostawił.

Owoc zwycięstwa: ba mnogie owoce,
 Jak mnogo więźniów leżało dokoła.
 Zsiniałe usta i blade ich czoła,
 A po nich łuna szyderczo migoce.
 U jednych rana na wieki zakrzepła,
 Innym się z piersi sączyła krew ciepła,
 Bo niemasz w Litwie od starca do dziecka,
 Ktoby źródło życia zatrzymać pośpieszył:
 Bo nienawistna, bo to krew niemiecka,
 Niktby litości takiej nie rozgrzeszył.
 Jeżeli ranne oszczędzono wrogi,
 Nie kierowała Litwinami litość:

Oferze stosu błogosławią bogi,
 Więc zacnych jeńców potrzeba obfitość.

Owóż kapłani oblegli ich wieńcem:
 Komu ostatnia nadchodzi godzina?
 Gedo nad każdym pochyla się jeńcem
 I długo bada i twarz przypomina.
 Gedo Komturów zna dobrze z nazwiska
 I wielu braci pamięta imiona,
 Bada więc pilnie a zagłada zbliża,
 Kto najzacniejszy? kto na stosie skona?
 Czekają losu Krzyżowi rycerze:
 Wielu ich zacnych, którego wybierze?
 Wielu ich poznał bystry wzrok Gedona,
 Ale wśród ciżby, gdy zoczył Randona,
 Swoje ofiary dla druha porzucił.

Lecz druh stał niemy, niby skamieniały:
 Usta otworzył i oczy wywrócił
 Nad trupem Niemca. Czemu on trup biały
 Takie na starcu wrażenie wywołał,
 Iż mu panować nie chciał czy nie zdołał,
 Choć nie z radością wspólnego nie miało;
 A — trup żywemu urągał zuchwało:

Na białym płaszczu, z czarnemi znamiony,
 Leżał poważny, jak gdyby spoczywał,
 Twarzą ku Niebu i wrogom zwrócony,
 Tam posłał ducha, tych jeszcze wyzywał...
 Sam nawet Gedo, kiedy się pochylił
 Aby go poznać: — Ha, ha! śmiał się stary,

Lecz śmiał się usty, choć serce wysilił,
Niewczesnej śmierci zazdroszcząc ofiary.

Stenzlu z Berthejma! pocóż się pośpieszył!
Jakżebyś Litwę na stosie ucieszył,
Ty, co cię Zakon w sto lat nie oplącze,
Chwało Westfalii, bez skazy, junacze.
Srebrny twój pancerz rozkowały młoty,
Pogańska ręka łańcuch zdarła złoty
I gdzież świadkowie twojej ziemskiej chwały?
Rozdarte piersi i ten krzyż niecały
I martwe zwłoki na Pokarwia błoni,
Zwłoki Redera, męża wielkiej dłoni,
Wielkiego wodza, co widział twe męztwo
I już dziękował tobie za zwycięstwo.
Gdy wam obydwu natangijscy mężę
Z rąk wytrącili hartowne orężę.

Może tak sobie dumał Wajdalota,
On co podziwiał Stenzla i Redera
I kłamał radość, co była nieszczera,
Badając śladów pogańskiego młota.

— Ha, ha! patrz, druho, oto cios śmiertelny;
I młot był ciężki i rycerz śnać dzielny!
Wskazywał Gedo.

— Mój syn cios ten zadał —
Odpowie Randon. — Nie wierzysz? dowiodę —
Tak, tak, mój Swarno — wróg życie postradał —
Dość tego! pójdźmy! ot tam widzę kłodę,
Nim nienawistne na stos złożą szczęty,
Siądźmy i gwarzmy. Rachunek zamknięty.

I owe starce u pożaru siedli,
By zatrutego owocu dojedli,
Owocu zemsty.

— Ucztujmyż, mój drogi!
Tam widzę wino piją; dajcież rogi —
Hej, tutaj z beczką! — Precz, w niej same męty —
Probuje z inną! — Wajdaloto święty!
Porzuć powagę; wino ci pomoże;
Niemieckie wino przypomni co może...
Czegoś się skrzywił? a toć już nie męty:
Możemy pamięć utopić we winie.
Niech ta noc krótka, jako sen przemienie —
Ona pomszczona — rachunek zamknięty!
Bo jutro — jutro... wszak my obaj starzy —
Wschodnia kraina, czy ci się nie marzy?
Znowu się krzywisz? — Ha, ha, ha, Gedonie! —

Tak wołał Randon rzekomo wesoło,
Lecz nieprzytomnie poglądał wokoło:
— Ha, ha, co ludu! jakże stos ten płonie. —
Żyj Litwo nasza! Gedonie, do ciebie!
Widzieć stos własny, pić na swym pogrzebie
I stypy bogom poświęcić ostatek,
Nieprawdąż druho, to raję zadatek! —

Czyś ty oniemiał? — czego milczysz stary?
A — a! rozumiem, masz ty swój frasunek:
Bez ciebie ranną nie będzie ofiary.
Pójdźże ją wybrać a mnie zostaw trunek.
Ja tu pić będę, weselić się, śpiewać,
A kiedy nie mam czego się spodziewać,

Szczęśliwy człowiek i od losu żądać,
Na wschód téż będę czasami poglądać.

Lecz stary Litwin nie pił i nie śpiewał:
Snać czegoś żądał, albo się spodziewał
I niespokojny to wstawał, to siadał,
Aż się zadumał i więcéj nie gadał.
Tylko raz przerwał milczenie grobowe
I syna głośno po imieniu wołał,
Córki imienia wymówić nie zdołał,
I sen go zmorzył. Zwiesił siwą głowę,
Pełnego rogu nie utrzyma w dłoni
I róg i wino nietknięte uroni.

Obóz litewski przy blaskach pożaru
Przenikał grozą, niby senna zmora,
(Chociaż śród cieniów i na tle wieczora
Pełen dzikiego był piękna i czaru)
I jako zmora we śnie czy na jawie
W pamięci widza ślad wieczny zostawi.

Już złote gwiazdy jaśniały w przestrzeni,
Z góry na ludzi mrugając łaskawie.
Kiedy pożarnych ubyło płomieni,
Zaświecił Menes i patrzył ciekawie
I zbłądł ze zgrozy, bo pośród obozu
Dziwne a straszne ujrzał widowisko:
Tam u jednego stanęło powrozu

Dwunastu przednich krzyżackich rycerzy:

W oczy im jasne świeciło ognisko,
A stary Gedo przed nimi szłyk dzierży,
Pełen kamyków białych z rumowiska.
Jeden jest krwawo przezeń naznaczony:
Rycerz, co wyjmie niby los czerwony,
Będzie obwołan z imienia, z nazwiska.
Jako ofiara bogom poświęcona,
Wróg świętej Litwy a krzyża obrońca,
Z pierwszym promieniem wschodzącego słońca
Stanie na stosie i w płomieniach skona.

Tak zawsze bywa, kiedy w więźniów tłumie
Najprzedniejszego nikt wskazać nie umieć.

Jeden po drugim ciągnęli rycerze:
Jeden po drugim biały kamyk bierze,
A Wajdalota wciąż potrząsa szłykiem
I dalej dąży, aż stanął nareszcie:

— Pójdźcie kapłani i ofiarę weźcie! —
Kamień czerwony lud wita okrzykiem,
O miano Niemca pytają śród wrzawy,
Miano rycerza co wyjął los krwawy.

— Hanno von Harzhals! — Gedo podał hasło,
— Hanno von Harzhals! — tysiąc głosów wrza-
[sło,

Zagrzmiało gromem nad puszczy ogromem,
Rozprysło w dali rozigraném echem
I powróciło do obozu śmiechem,
Lecz w jedno serce uderzyło gromem...

Ochoczo Litwa ujęła topory:
Walono dęby i pruto częstokoł.
Porwał się z gniazda obudzony sokół
I czarnych ptaków ozwały się chóry,
A Menes z góry wciąż patrzył ciekawie
I barbarzyńskiej dziwił się zabawie.
Gdy stos był gotów z wielu kłód tysięcy,
Zasul się w chmury i nie patrzył więcej.

Ale i zgłiszczą dogasły pożaru,
Przycichły gwary pijanej swawoli,
Późno. Już obóz usypia powoli,
Sen zaraźliwy, już nie słyszać gwaru,
A senne straże nie stoją, lecz siedzą.
Czyli czuwają, dokładnie nie wiedzą.
Tylko u stosu, gdzie martwych gromadzą
I strzegą więźniów, Wajdaloci radzą.
I pod obszernym niemieckim namiotem,
U stołu wodza jeszcze życie tleje,
Rzucają kości i wino się leje,
Choć straż za drzwiami leżąca pokotem
Snem zaraziła Sygonoty wieszczę,
(Dość się im piło i dosyć śpiewało)
Sami wodzowie czuwają wciąż jeszcze,
Lub iż czuwają wodzom się zdawało,
Bo wino obce o mocy zdradzieckiej
Odurza jako zapach krwi niemieckiej...

Już Berg zwycięzki, najstarszy z Litwinów,
Do resztek uczyty nie należał wcale:
Puhar złocisty odsunął niedbale,
Syty napoju, jadła i wawrzynów,
Napoły leżąc u sutego stołu,
On niegdyś wasał u mniszego tronu,
Dzisiaj Kunigas, pogromca Zakonu.
Dumał czy drzémał, nieodgadnąć zgoła.

Wtém się opona podniosła nad drzwiami:
Wzdrygnął się Prusak: czyli wzrok go mami?
Dziewica w bieli stanęła u proga...
Chciał wstać — daremnie! próżno się wysili —
Snać pił za dużo i zdejmie go trwoga.
Współbiesiadnicy za dużo też pili.

— Straże! gdzie straże? Co to widmo znaczy?
Lecz straże milczą, widmo nie tłumaczy,
Postąpi naprzód — stanęła — pobladła —
— Na pomoc, ludzie! — bez zmysłów upadła...

Lecz się raz drugi podniosła kotara:
— Ha, nowe widmo! — Nie, to syn Randona!
Oto ku widmu wyciągnął ramiona:
— Litwini — woła — od dziewicy wara!
Bom nie pijany i zdrowe mam pięście.
To siostra moja, szanujcie nieszczęście.
A ty, o wodzu, jeśli w twojej mocy,
Ratuj rycerza, co zginie tej nocy,
O, bądź wspaniały!

— Lecz synu Randona! —

Któż to ma zginać? ja nie wiem o niczém.

— Hanno von Harzhals na stosie ma zginać —
Wyjął los krwawy.

— A to?

— Narieczona.

— Rozumiem, bracie. Ze sercem dziewczęm
Igrać nie wolno: los musi go minąć,
Każe losowi... o bądźcie spokojni.
Między jeńcami są równie dostojni.

— Dzięki ci, wodzu! — rzekł Swarno wzruszony,
Unosząc siostrę silnemi ramiony,
Odtrącił ręce, co usłużyć chciały
I wyszedł śpiesznie, bo niósł ciężar biały.

Zaledwie zniknął, już Berg ciężki wstawał
I łązał strażę i rozkazy dawał:

— Wołać kapłany, zanim lud się zbierze:
Pociągniem losy ku rannej ofierze.
Prowadzić więźniów!

I straż się rozrusza,
Wódz niecierpliwy do pośpiechu zmusza.

Gedo się zżymał na owe rozkazy;
Lecz Berg pół Niemca, a Prusak na poły,
Snać i od niego-by nie zniósł obrazy,
Więc szлык gotował chociaż nie wesół.

Wszystko w porządku. Wajdalota stary
Choć kręci głową, znów losy rozdziela,
Tylko raz poraz burém okiem strzela,
Powierza pilnie i czeka ofiary.
Wtém się zaśmieje... Co ten śmiech ma znaczyć?

— Hanno von Harzhals! — woła Wajdalota.

— Kłamstwo! — Berg krzyknie.

— Ha, raczcie zobaczyć. —

Lecz Berg nie sprawdzał; gniew nim srogi miota
Zanim wybuchnął:

— Bazyliszku stary!

Perkun podstępnej nie przyjmie ofiary;
Hanno von Harzhals jest już przeznaczony
Do Nowogródka, dla kniazia Mendoga.
Precz mi, precz z oczu!

I kapłan zelżony

Odszedł w milczeniu, bo padła nań trwoga.

— Zbudzić którego z śpiących Sygonotów!

Był nowy rozkaz i stało się zadość.

Wiodą sennego — dano szлык — był gotów.

Rycerstwo krzyża nowa kazi bladość...

Ale i obóz budzić się poczyną:

Pobiegła po nim niezwykła nowina

O świętokradzkich zmianach w drodze łaski.

Już i na niebie pierwsze widać brzaski.

Więc Wajdaloci u stosu się kupią:

Ci wiodą konia, tamci szczapy łupią,

Inni u słupa wieszają łańcuchy,
Ci znów od martwych złe gonią precz duchy,
Bo jeden płomień ogarnie pospołu
Żywego jeńca i zakrzepłe ciała,
Ażeby wrogów jedna garść popiołu
Na wspólnych zgłiszczach na wieki zjednała...

Już naród szemrze: „A czego tam zwłóczą?”
Już ludu fale niecierpliwie huczą,
Tymczasem losy ciągnięto powoli.
Padł los nareszcie! Czy po Berga woli?
Milczał wróżbita, nie wiedział nazwiska
Nowej ofiary, lecz rycerz zuchwało
Sam swoje miano między tłumi ciska:

— Hanno von Harzhals!

W obozie zawrzało,

A Gedo krzyknął:

— Perkuna to hasło!

— Hanno von Harzhals! — tysiąc głosów wrza-
Zagrzmiało gromem nad puszczy ogromem, [sło,
Rozprysło w dali rozigraném echem
I do obozu powróciło śmiechem,
Lecz w jedno serce uderzyło gromem...

A Berg się burzył:

— Nie dam cię młodzieńcze,

Ty dla Mendoga przeznaczony jeńcze! —

Gdy młody Krzyżak podniósł rękę w górę
I o głos prosił: milczenie ponure

Zaległo obóz, bo każdy chciał wiedzieć
Co może Krzyżak Litwinom powiedzieć?
On na tłum niemy wdzięczności wzrok rzucił
I temi słowy obrońcę zasmucił:

— Henryku Bergu! za chęci twe, dzięki,
Lecz życie dla mnie straciło swe wdzięki.
Jako te liście od wiatru miotane,
Do mego drzewa już ja nie przystanę...
A biednej ryby, co morze wyrzuci
Wiosenne słońce do życia nie cuci...
Pozwól więc umrzeć. Towarzysze mili!
Wy co stoicie bladzi i zgnębieni,
Pora się kajać w uroczystej chwili,
O! bośmy sądu godni i płomieni!

Litwini! na was grzesznik się nie zali:
Oby śmierć moja szczęście wam przyniosła!
Nieudolnego posłacie posła;
Ale Bóg dobry i Litwę ocali...

Tak, o Litwini! Bóg dobry bez miary.
Nie ten krzyżacki, co razi żelazem,
Nie ten litewski, co chłonie ofiary:
Miłość przedwieczna jest Jego obrazem!

Będę Go błagał o światło dla ludu,
O pokój trwały dla nieszczęsnej ziemi,
Dla towarzyszy błagać będę cudu,
Może Duch Święty znów spocznie nad niemi. —

— Bluźni, ha, bluźni, — szeptano dokoła,
Gdy się młodzieniec znów do Berga zwrócił,
(Co stał wzruszony lecz z chmurą u czoła)

I taką prośbę cichym głosem rzucił:

— Jeśli mi od Was wolno czego żądać,
Pragnąłbym Swarnie, Randona synowi,
Dać polecenie. —

Berg się jął oglądać,
Rozkazał szukać; poszli ci i owi,
Ale go nigdzie w obozie nie było.

— Bądź wola Boża! wszystko się skończyło. —
Rzekł sam do siebie Krzyżak smutnym głosem. —
Nie człowiek rządzi nawet kwiatu losom,
Na potępioném co ma spłonąć łonie...
Biały depozyt... wzięłem go przemocą...
Zwrócić więc chciałem... lecz nie, on nie spłonie!
O! bądź spokojna, ognie go pozłocą...
Oddam go tobie tam!

Zamilkł młodzieniec,
Bo go porwano i na koń wsadzono,
I hełm wtłoczono, na stos prowadzono,
Oto u słupa już krzyżacki jeniec.

Berg okiem wzgardy Wajdalotów mierzył
I zaklął głucho i w pierś się uderzył,
Splunął i jedno tylko wyrzekł słowo:
— Podli! — i odszedł ze zwieszoną głową.

Tymczasem Litwa wedle obyczaju,
Stos podpaliła, w litaury uderza,
Kaplani w bieli, za pomyślność kraju,
Takową pieśnią ugnębia rycerza:

PIEŚŃ OFIARNA WAJDALOTÓW.

Przedwiecznemu ofiara, Przedwiecznemu ofiara!
Dalej w trąby uderzcie i struny!
Blady rycerz jak mara, blady rycerz jak mara,
Dalej, dalej, rumieńcie go łuny!

*

Nasza Litwa tak biedna, nasza Litwa tak biedna!
O Perkunie! gdy za nią ten zginie,
Niech twą zemstę przejedna, niech twą zemstę prze-
Bo on twoje obalił świątynie. [jedna,

*

Krwią pojona i łzami, krwią pojona i łzami,
Krwią i łzami pojona poczwara,
Niech cię błaga za nami, niech cię błaga za nami,
Krwią i łzami dzisiaj ofiara.

*

Krzyżak spalił nam żniwa, Krzyżak spalił nam
Przyjmcie bogi krew i trup ofiarny. [żniwa,
Hej! dodajmy paliwa, hej! dodajmy paliwa!
Niech jak dola nasza będzie czarny...

*

Już stos z trzaskiem zapada, już stos z trzaskiem
Już ofiara u Prəmzu ołtarza. [zapada,
Biada Litwie, lecz biada, biada Litwie, lecz biada,
Biada Niemcu, iż bogi znieważa!

*

Duchy czarne pragaru, duchy czarne pragaru,
 Weźcie kości co z niego zostały,
 Do wiecznego pożaru, do wiecznego pożaru,
 Weźcie, weźcie, by więcej nie wstały!...

Pieśń brzmiała długo i stos długo płonął,
 Bo pierś litewska ma zapalu wiele,
 A płomień święty całe dęby chłonał.
 Czemuż swe dymy tak nizko dziś ściele?

Czyli bogowie zajrzą widowiska,
 Co świętą grozą lud wierny przenika,
 Iż dym wyciska lży stojącym z blizka,
 Niby nad losem wroga męczennika?...

Wtém buchnął płomień niby słup wysoki,
 Dymy od ziemi wzniosły się w obłoki,
 A gdy na chwilę wiatr ognie rozdzielił,
 Zanim rozdarł czeluście zestrzelił,
 Krzyżowi bracia i pogańska tłuszcza
 Chciwie wzrok w głębię trawiącą zapuszcza,
 Kędy stał jeszcze wielki słup ofiarny
 I rycerz z koniem nieruchomy, czarny...
 Lecz nie sam jeden; bracia cud widzieli:
 Strzegł męczennika anioł cały w bieli!
 A Wajdalota w piersi się uderza
 Iż widział ducha ze Wschodniej krainy,
 Białego ducha w postaci dziewczyny,
 Co spłynął z Niebios w objęcia rycerza,

Aby mu śmierci widziadła zasłonić
 I przed czarnymi duchami obronić...

Słońce od rana jak tarcza czerwona,
 Blednąc u góry z blasków się wyzuło,
 Aż w końcu we mgły całkiem się zasnulo
 I nie patrzyło na zgłiszczę Randona.

Kędy tłum zbrojny? — już ognisk odbieżał.
 Gdzie stos ofiarny? — zapadł się na wieki.
 Gdzie Randon stary? — on sam jeden leżał
 U zimnych zgłiszczów; rozwarte powieki
 I usta starca, iż zdawał się dziwić
 Jako nie mogła zemsta uszczęśliwić...

Nieszczęsny starcze! więc nie było komu
 Wzniesć tobie stosu ni czynić ofiary:
 Zwierz się do ciebie skrada pokryjomu!
 Gdzie twoje dzieci, o sieroto stary?

Syn cię odbieżał, opuściła córa;
 Nie masz ich więc, bo nikt o nich nie wie:
 Którędy przejdzie piorunowa chmura,
 Milczenie świadczy o Perkuna gniewie...

Przeminie jesień, kiedy śnieg pobielei
 Wygasłe zgłiszczę, popioły i kości,
 Starcze, niewskrześniesz nawet u kądzieli,
 Nie! tam się zrodzi rzewna pieśń miłości:
 Siwy Burtynik użyczy cytary,
 Chór śpiewać będzie jako *on* i *ona*

Szli kochający, przez krew i pożary,
 Jak rycerz uwiózł lilią Randona
 Na karym koniu, ku Wschodniej krainie.
 Tak żyje miłość, tak nienawiść ginie.

Jako te dziewczki Randonowej losy,
 Bóg krwią i łzami dzieje ludówaczy:
 W imię miłości On zapala stosi,
 Ofiar serdecznej żądając rozpaczy.
 Za winy ojców i za własną winę
 Ofiary giną, ludzkość łono sine
 I samolubne serce, niby karła
 Pokrzepia ciepłem, by snąć nie umarła.

K O N I E C.

